Nr. 23. We Lwowie dnia 5. Czerwca 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



ADAM MICKIEWICZ

podług rzeźby A. Kurzawy

* 1798 † 1855.

Z literatury historycznej.

Historia est lux veritatis.
Cicero.

Bardzo szczęśliwą miała myśl redakcja warszawskiej „Bibljoteki dzieł wyborowych“, drukując w nowem wydaniu rozprawę Wł. Smoleńskiego pt.: „Szkoły historyczne w Polsce“. Aczkolwiek praca ta pojawiła się po raz pierwszy w r. 1886, nie straciła przecież nic ze swej aktualności i naukowej wartości. Co do tej ostatniej mamy opinję tak kompetentnego znawcy, jakim jest A. Rembowski, który w przedmowie do książki, o której mowa, tak się o studjum Smoleńskiego wyraża: „Z pracowitością i sumiennością niezaprzeczoną p. Smoleński usystematyzował i zgłębił olbrzymi plon dziejopisarstwa polskiego, począwszy od XVII. wieku i starał się usilnie o wierne scharakteryzowanie, a następnie i o ścisłe ocenienie naukowych zdobyczy każdej z historycznych szkół polskich“. Oprócz pracy Smoleńskiego znamy jedynie późniejszy referat prof. Korzona, wydrukowany w Pamiętniku drugiego zjazdu historyków polskich we Lwowie, dotykający jednak tylko historjografji naszej w XIX. w., a przeważnie szkoły t. zw. krakowskiej. Głośnym był w swoim czasie ów referat, ale wskutek zwartej opozycji kliki krakowskiej i wszystkich, co z nią trzymają, nie miał tych rezultatów, których się po wystąpieniu jednego z najwybitniejszych naszych historyków spodziewać można było. I z tego więc względu praca p. Smoleńskiego jest na czasie.

Ale pomijając naukowe znaczenie tego ogólnego rzutu oka na naszą historjografję, mające niewątpliwą doniosłość i dla zawodowych historyków, trzeba podnieść z naciskiem znaczenie, że się tak wyrażę, praktyczne, jakie niektóre rozdziały, zwłaszcza 4-ty i 5-ty mają dla stosunków galicyjskich, gdzie wpływ krakowskich historyków przeniknął do szkół, a opanowawszy całkowicie wykład historji i układ podręczników dla młodzieży już od szeregu lat zatruwa umysły i serca dorastających pokoleń.

Pozwolimy sobie tedy wypisać ze studjum p. Smoleńskiego większe ustępy, te mianowicie, w których autor ocenia szkołę t. zw. krakowską.

Rozpatrując pierwszą połowę działalności naukowej Szujskiego, zauważa autor, że „lawirował Szujski pomiędzy szkołą lelewelowską a monarchiczną Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu; zajął pomiędzy nimi stanowisko pośrednie. Do zdecydowanych ostatecznie poglądów doszedł w chwili zorganizowania się stronnictwa politycznego w Krakowie, które zamanifestowało wiarę swą w ogłoszonej w r. 1869 „Tece Stańczyka“. Zasady tego stronnictwa: katolicyzm i lojalność sformułował najdokładniej urzędnik austrjacki Antoni Walewski; wprowadził je do badań swoich i Szujski, lubo w sposób mniej jaskrawy, niż tamten.

Oto, co pisze autor „Dumań Polaka“ i „Filozofji dziejów Polskich“, Walewski:

„Więc przez cały żywot podczas niepodległości żył naród świetnie jedynie pod warunkiem i w miarę okazywanej lojalności swoim królom. Rozbiory, które mu obcych królów nadały, nie zmieniły tego stosunku, opartego z dawna na jestestwie i duchu narodu polskiego. Król Polaków nie polskiego pochodzenia nie przestaje być królem polskim; Polakom najmniej przystoi pytać swego monarchę o narodowość, skoro sami wybierali Francuza, Litwina, a potem wybierali znów Francuzów, Węgrów, Szwedów, Niemców, Moskwę, a nawet Prusak głosy elektorów za sobą miewał. Gdy naród powitał radośnie okrzykami Pawła I. działo się dobrze Litwie i Rusi. Gdy otaczał lojalnością wskrzesiciela i jego następcę, cesarza Aleksandra I., był naród, mimo rozbioru, jeszcze znakomitym. A gdy zbiegiem błędów, przestępstw i wypadków osądziła mniejszość narodu lojalność dla Mikołaja I. za bezpotrzebną, nastąpiły okropności. Znów się tulił do Aleksandra II., i doznawał łask monarchicznych; ale gdy nowym buntem, najbrzydszym ze wszystkich poprzednich, odwrócił się od swego króla — cóż ujrzał w miejsce niedawno temu kwitnącego, między wszystkiemi polskiemi najszczęśliwszego kraju? Słowem, bez uszanowania króla był naród jedynie zbiorem barbarzyńców, jak przed Mieczysławem I.; o tej epoce nic nie wspomina historja, bo cóż powie o barbarzyńcach? W czasie ostatniego powstania wpadł znów w barbarję, a to najgłębszą barbarję; historja pewnie o tej epoce niczego napisać nie zdoła.... Naród utracił byt polityczny, ale narodowy byt utrzymać mają powinność Polacy, a jedynie przez pracę, naukę i wierność dla kościoła utrzymać go mogą. A przecież niezbędnym warunkiem pracy, nauki i spełnienia obowiązków wiary jest lojalność, jako podstawa domowego bezpieczeństwa i pomocy rządowej. Wreszcie, Polacy nie zachowają narodowości, jeżeli jej główną cechę postradają, a tą cechą, właściwością, przez którą się naród polski od wielu innych, mianowicie od wschodnich, różnił i różni, była lojalność, zasada, streszczająca całe dzieje narodu polskiego....

....Jeżeli Polacy będą, jak dotąd, po zgubnym roku 1863 wypełniali powinności wobec monarchów, pewnie nie zapomną monarchowie o prawach nietylko z jego własnej winy pokrzywdzo-

nego narodu. A lojalność przychodzi Polakowi tak łatwo, jak język, skoro stanowi cechę jego jestestwa i jego właściwości. Zatem sam patrjotyzm polski domaga się lojalności, zerwanie z nią byłoby zerwaniem z przeszłością i z narodowością samą... Zerwanie z prawowitością byłoby dla narodu polskiego samobójstwem. Łącząc się z dzikim chórem europejskiej rewolucji, byłby tylko cyfrą dla rachunku liberałów; najprzód ich narzędziem, a potem ofiarą".

„Dumania Polaka" — dodaje p. Sm. — drukował organ Stańczyków, „Przegląd polski", a jego redakcja dała im w przypisku taką rekomendację: „Szanowny autor... zwraca się w „Dumaniach" ku chwilom obecnym, a czyni to z takiem zasobem głębokich myśli i spostrzeżeń politycznych i społecznych, że liczymy sobie za prawdziwy zaszczyt umieszczenie ich w piśmie naszem. Czasy nasze obfitują w taką powódź obtartych myśli i poglądów przestarzałych, bezpłodnych, krótkowidzących, że prawdziwem użyciem umysłowem i podniesieniem ducha musi stać się praca ze spokojnego a żywego badania przeszłości świeże i szeroką przestrzeń wypadków obejmująca spostrzeżenia" (Przegl. pol. z r. 1872 T. IV str. 346).

Na takiej tedy kanwie, z katolicyzmu i c. k lojalności utkanej, haftują swe poglądy Szujski i Bobrzyński.

W swej „Historji polskiej treściwie opowiedzanej" żałuje Szujski — czytamy w omawianej książce — że ze wzorów Kazimierzowych nie umiała Polska wynieść „monarchicznej myśli", że za Jagiellonów oddzieliła swój interes od sprawy króla. Entuzjastyczny niegdyś rzecznik instytucji liberalnych zżyma się na „przedwczesność parlamentaryzmu", której przypisuje skutki opłakane... Humanizm i reformację poczytuje za pierwiastki rozkładowe, nie chce w nich uznać czynników postępu... Żądania w r. 1555 przez szlachtę utrakwizmu, języka narodowego w kościele, małżeństwa księży, były — zdaniem Szujskiego — retrogresją, cofnięciem się do Rusi, były odrzuceniem aspiracji zachodu religijno-moralnych... Czasy reformacji nazywa wiekiem mężobójstwa, bezkarności, zbrodni, miękkości i rozwiązłości obyczajów, niewojenności... Autor (Szujski), zarzucający w r. 1862 (w swych „Dziejach Polski) papizmowi skostniałość i niemoralność, nazywający go archiwarjuszem dogmatu — w 1880 r. zbawienie widzi tylko w związku z kościołem; pogromca jezuitów, którym złorzeczy za hipokryzję, intrygi, egoizm i wsteczność, w kilka lat później uwielbia ich miłosierdzie, dbałość o światło i mądrość. Zakończył Szujski karjerę naukową najskrajniejszem wstecznictwem, które jaskrawiej niż ktokolwiek inny zaprawił jezuityzmem*).

Bobrzyński jest również jak Szujski, doktrynerem, tylko innego stylu. Szujski pragnąłby zawrzeć w monarchji absolutnej wyłączność katolicką ze scholastycyzmem średniowiecznym i ascetyzmem; — Bobrzyński wyklucza z polityki zasady moralne i religijne, godzi się na wszelkie środki, byleby ujarzmić samodzielność narodu i zbudować rząd silny według wzorów bizantyjskich. Szujskiemu pod osłoną monarchji jednowładnej, chodzi, oprócz bytu, o cywilizację, której urzeczywistnienie widzi w kościele; Bobrzyński uznaje kulturę akatolicką, chociaż o tyle tylko, o ile służy idei państwa... Mądrze czynił, zdaniem jego, Batory, że do odrodzenia w narodzie karności, do przywrócenia w Polsce silnej władzy królewskiej, użył katolicyzmu; wielkie kładli zasługi jezuici, dopóki zmierzali do szerzenia pojęć monarchicznych i poszanowania rządu... Zginęliśmy, zdaniem Bobrzyńskiego, dlatego, bośmy nie chcieli dla rządu silnego poświęcić „na długie lata" drugiego pierwiastku szczęścia ludzkiego na ziemi — wolności obywatelskiej... Dodatnie tylko widzi Bobrzyński rezultaty wpływu instytucji bizantyńskich na Słowiańszczyznę południową i wschodnią. „Absolutyzm cesarzów wschodnich — są słowa Bobrzyńskiego — zgadzał się zupełnie z dążeniem jedynowładzców bułgarskich i ruskich i gotowe poddawał im formy. Kościół wschodni... służąc we wszystkiem państwu, nie budził do samoistności społeczeństwa i zamiast z absolutyzmem monarszym walczyć, najsilniejszej dostarczał mu podpory. Nic więc dziwnego, że cesarstwo bizantyjskie, jego kościół i prawo działały zgodnie wobec Bułgarów i Rusi, że w urządzeniach ich społecznych i politycznych wystąpiły jako czynnik, wszystkie inne słowiańskie, a nawet skandynawskie, przeważający". Te „bizantyjskie upodobania" Bobrzyńskiego nie mogą, naturalnie, pogodzić się z parlamentaryzmem w Polsce. Podsuwają mu też one następujące, pełne sofisterji i tendencyjne porównanie monarchji z republiką. „Mylnem jest — powiada B. — zdanie, jakoby republika oznaczała wolność i szczęście narodu, zaś monarchja absolutna — jego niewolę i ucisk. Owszem w monarchji absolutnej, rozumnie rządzonej, lud może się czuć swobodnym i szczęśliwym, zaś w republice, gdy na jej czele staną ludzie gwałtowni lub zepsuci, może panować najsroższa niedola i ucisk". A co — zapytać się godzi — panować będzie w monarchji absolutnej, gdy na jej czele staną ludzie „gwałtowni i zepsuci"?

Bardzo przekonywająco wykazuje p. Smoleński, że historjozoficzne poglądy uczonych podwawelskich nie są nawet oryginalne, że są echem głosów przebrzmiałych oddawna. Bobrzyński, nie znający literatury wieku XVIII. (i sądzący szkołę Naruszewiczowską więcej z intuicji — jak zjadliwie zauważa p. Sm.) zdaje się być najmocniej przeko-

*) O tym to pisarzu pouczają młodzież w swych „Wypisach polskich dla klas wyższych Cz. II." pp, Próchnicki i Tarnowski, że „badał i pisał historję Szujski, jak rzetelny i umiejętny dziejopis, bez uprzedzeń, bez żadnych z góry powziętych zdań i sądów, bez naciągania historycznych faktów do swoich upodobań lub przekonań!"

nanym o oryginalności swoich poglądów; za to świadom rzeczy Szujski pokrewieństwa swego ze szkołą naruszewiczowską nie tai... O rząd silny, karność, armję i skarb w dziełach szkoły naruszewiczowskiej potrąca czytelnik na każdej niemal stronicy tak samo, jak w pismach autorów, grupujących się około Towarzystwa historyczno-liter. w Paryżu, jak w czasach najnowszych w rozprawach Kalinki, Szujskiego Bobrzyńskiego... Obie szkoły protegują rząd silny, monarchiczny, chociaż skalę jego natężenia krakowska doprowadza do despotyzmu, gdy naruszewiczowska władzę króla chce ująć w ramy konstytucji. Naruszewiczowska daleką jest od biurokratyzmu, unifikacji religijnej i wszystkich protegowanych przez szkołę krakowską plag państwa policyjnego; poszanowanie ma dla najdroższego dorobku cywilizacji: wolności obywatelskiej i tolerancji; nie wyrzuca przeszłości, że nie porodziła potworów takich, jak Filip II lub Iwan groźny (Bobrzyński II, 340).

Prawdziwie cenne są ogólne uwagi o historjografji naszej, któremi p. Smoleński kończy swe studjum. Pozwolimy je sobie tu powtórzyć w całości na zakończenie naszego sprawozdania.

„Historjozofowie nasi całą baczność zwrócili na fenomen upadku państwa; ku jego wyjaśnieniu zużyli całą djalektykę i wszystką swą wiedzę. Przyczyn upadku poszukując w czasach zamierzchłych, cały proces przeszłości nawłóczą na jedną nić czarną, ginącą w olbrzymiej ruinie. Stosownie do wyznawanej doktryny politycznej, na której fundują budowę świetniejszej przyszłości, jedni przypisują upadek słabości rządu monarchicznego, drudzy sprzeniewierzeniu się prawowierności katolickiej, inni społecznemu konserwatyzmowi. Zależnie od owej doktryny, na podstawie motywów ostatnich chwil rzeczypospolitej jedni w danem zjawisku upatrują chorobę, drudzy objawy zdrowia, wszyscy zaś troskliwie fenomeny różne nanizują na nić rozkładu, dostrzeganego w przeszłości, by ją nawiązać z katastrofą upadku państwa. W taki sposób katastrofa upadku użyta została do oświetlenia wypadków wstecznych i zaprawiła pogląd na najodleglejsze okresy przeszłości pesymizmem.

Branie katastrofy upadku za punkt wyjścia w poglądzie na przeszłość jest z gruntu rzeczą fałszywą, dla nauki historycznej szkodliwą. Fakt upadku musi być punktem wyjścia do historji porozbiorowej, zmienił bowiem warunki dalszego rozwoju tak samo, jak w stuleciu XIII najazdy tatarskie i kolonizacja Niemców, jak w XIV. wieku zjednoczenie z Koroną obszarów Litwy i Rusi; Nie widzimy jednak racji naukowej do przyjmowania go za główny wątek przy zgłębianiu całej przeszłości. Czyż przeszłość gromadziła jedynie materjał dla sprowadzenia upadku? czyż obok wadliwej organizacji państwowej nie rozwijała motywów innych? Upadek państwa niedoprowadził bytu naszego do kresu, lecz stworzył jedynie przełom; nie unicestwił narodu, lecz tylko zmienił warunki jego rozwoju. Te zasoby, nagromadzone w przeszłości, którym naród zawdzięcza ciągłość życia moralnego, pomimo upadku państwa, stanowią fakt znamienniejszy, niż zanik bytu politycznego. Racjonalniejby też było przyjąć za punkt wyjścia do dziejów genezę i proces gromadzenia tego dorobku normalnego, który zagwarantował byt narodu i jego kulturę, niż ogrywanie wszystkich stron przeszłości na temat upadku. Zrozumiałąby była wyłączność motywu upadku w dziejach państwa, lecz nie narodu, który stanowi główny przedmiot badania historycznego i który nie przestał istnieć, pomimo zaniku bytu politycznego. Historyk państwa musi ciągle zwracać uwagę na upadek, w nim bowiem znajduje kres badań, dla dziejopisa narodu fakt zniszczenia warunków egzystencji politycznej wagę ma inną. Organizm, zwany państwem, nie ogniskuje w sobie wszystkich promieni życia; jego dzieje nie są kwintesencją przeszłości. Obok urabiania form życia państwowego naród polski snuł wątek dorobku cywilizacyjnego, który przetrwał upadek i stanowi główny motyw historji. Upadek państwa w związku z zasobami moralnemi społeczeństwa z końca wieku XVIII. musi być punktem wyjścia do historji w stuleciu XIX. lecz nie powinien służyć za normę do ocenienia wypadków wstecznych, nie powinien być motywem zasadniczym całych dziejów.

Kwestję, czy do historji należy służba względom praktycznym, która niema innego zadania nad konstatowanie i objaśnienie zjawisk.

Wyzwolenie badań dziejowych z więzów polityki praktycznej i zaniechanie naciągania przeszłości do motywów upadku starłoby z historji panujące w niej od wieku piętno dydaktyzmu, nie mającego żadnego związku z nauką. System karcenia lub wielbienia zdarzeń i ludzi ustąpićby musiał objektywizmowi; utyskiwania, że tok przeszłości nie zwrócił się w kierunku monarchicznym, ultramontańskim lub rewolucji socjalnej, musiałyby zamilknąć przed logiką faktów, przed koniecznością dziejową, którą uzasadniają rezultaty nauki ogólnej. Konsekwencje oceniania przeszłości przez szkła interesów stronnictw politycznych i poszukiwania w niej wskazówek praktycznych zaciążyły na dziejopisarstwie polskiem fatalnie. Dotykać je będą dopóty, dopóki rozszerzenie w społeczeństwie gruntowniejszych pojęć o nauce nie powstrzyma polityków od nadużywania imienia i godności historji.„



Mickiewicz a Towiański.



Mickiewicz wyniósł już z domu głęboką religijność. Pomimo zmian, jakim ulegała w późniejszych czasach, stanowiła ona zawsze główną cechę jego usposobienia. Pod wpływem romantyzmu przyjęła ona kierunek mistyczny, który polega na tem, że rozwiązania przedwiecznych zagadnień bytu każe szukać nie w rozumie, ani też w dogmatach tradycyjnej wiary, ale w natchnieniu, w podniesieniu uczucia. Miej serce i patrzaj w serce! — takie było hasło romantyzmu, którego duszą był właśnie mistycyzm.

Przejęty do głębi tem hasłem, zobojętniał Mickiewicz dla obrządków religijnych, jakkolwiek nie przestały one mieć dla niego pewnego uroku, dzięki wspomnieniom z lat dziecinnych, z któremi skojarzyły się silnie w jego duszy. W każdym razie zmiana ta dokonywała się w nim powoli, nie bez wewnętrznej walki. Walka ta między wiarą dziecinną a refleksją wybuchła dopiero w celi klasztornej, kiedy prześladowanie młodzieży wileńskiej przez Nowosilcowa rozbudziło w nim wątpliwości, ażali rzeczywiście świat jest pod opieką bożą, i jeżeli Bóg nim rządzi, czy w rządach swych nie kieruje się On samym tylko rozumem?! . . Pobyt w Rzymie pogodził go z katolicyzmem, ale zarazem pogłębił jego nastrój mistyczny. Uwierzył on, że Bóg go przeznaczył do odegrania ważnej roli w narodzie polskim. W uświadomieniu swego genjuszu każe on widzieć w swej osobie „tęczę przymierza między Bogiem a narodem“. Czyni to zaś, powodowany nie pychą, ale pokorą wobec postanowienia bożego. To przeświadczenie o swej misji wypowiada jeszcze dosadniej w proroctwie ks. Piotra z III-ej części Dziadów, a mianowicie we wstępie, w którym jest mowa o przyszłym wskrzesicielu narodu. Oznacza go on następującemi słowy: „Z matki obcej, krew jego dawne bohatery, a imię jego będzie czterdzieści i cztery“.

W jaki sposób pojmował on swe powołanie, jako wskrzesiciela narodu, dowiadujemy się z jego: „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa polskiego“, które stanowią pewien rodzaj ewangielji narodowej. Wskrzeszenie narodu ma nastąpić nie w drodze zbrojnego powstania, ale pracą nad samymi sobą i nad innymi, przez umoralnienie siebie i ustalenie braterstwa powszechnego. Zchrześcijanienie polityki międzynarodowej. wyzwolenie ludów z pod panowania królów i mędrców — takie jest ostateczne zadanie narodu polskiego i warunek jego zmartwychwstania. W celu szerzenia swych zasad pisywał artykuły polityczne do „Pielgrzyma polskiego“ i „Tribune des Peuples“, poruszając w nich kwestje, dotyczące sprawy polskiej i wypadków europejskich.

W tym samym czasie, kiedy Mickiewicz w wyzwoleniu ludów i ich braterstwie upatrywał rękojmię wybawienia Polski, w Wilnie nauczał Towiański, że nic się nie dzieje bez woli bożej i, że wszelkie kuszenie się o zmianę tego, co opatrzność nam przeznaczyła, jest buntem, przeciwko postanowieniu boskiemu. Wychodząc z tego stanowiska, przepowiadał niepowodzenie powstania w 1831 r. i odwodził swych znajomych od brania w niem udziału. Rola, jaką odegrywał w Wilnie, była dość skromna. Zapragnął on szerszego pola dla swego działania i dla tego wyruszył za granicę. Ponieważ nie był znanym emigracji, musiał wprzód znaleść kogoś wpływowego, któryby go swem imieniem, jeżeli nie czynem poparł wobec niej. W tym celu udawał się do arcybiskupa Dunina i Skrzyneckiego. Odepchnięty przez nich obu, jako heretyk, zwrócił się do Mickiewicza, o którym zawsze myślał, ale chował go na ostatek, ponieważ wiedział, że nie cieszył się wielką wziętością wśród emigracji swarliwej i rozdartej na stronnictwa. Znał on Mickiewicza doskonale z opowiadań i z jego dzieł. Wiedział, że najłatwiej trafić można do niego, podziaławszy na jego wyobraźnię. Wybrał do tego chwilę bardzo stosowną, kiedy Mickiewicz był pełen niepokoju o żonę, która po raz trzeci wpadła w obłęd. Stanąwszy przed Mickiewiczem; zapewnił go, że żona jego jest zdrowa, i pojechawszy z nim do zakładu chorych, samem przemówieniem do niej uzdrowił rzeczywiście. Jednocześnie odkrył Mickiewiczowi jakiś szczegół z jego młodości, o którym oprócz niego nikt inny, zdawało mu się, nie wie. Złożywszy w ten sposób dowody swej cudotwórczości i jasnowidzenia, odrazu zapanował nad Mickiewiczem i znalazł w nim najgorliwszego ucznia. Dziwić się temu tak bardzo nie można. Naukę swą bowiem, czysto kosmopolitycznej natury, przyoblekł Towiański w barwy narodowe, zapożyczywszy ich od Mickiewicza. Mickiewicz więc w „sprawie bożej“, jak nazywał Towiański swą naukę, widział tylko rozwinięcie własnych swych wierzeń i zapatrywań. nie domyślając się wcale, co się na samym jej dnie kryje, nie przeczuwając, że w gruncie rzeczy nie jest ona niczem innem, jak swego rodzaju katechizmem o czci cara rosyjskiego, książką, która z rozkazu Mikołaja pierwszego była zaprowadzona w szkołach rządowych. Uczył on, że z woli Boga naród nasz dostał się pod jarzmo moskiewskie i dla tego potrzeba je znosić w pokorze i z poddaniem się swemu losowi, oczekując, aż sam Bóg nas z niego wyzwoli. Dla przyśpieszenia tej chwili potrzeba nastrajać się do tonu chrystusowego, ogłupiać się dla Chrystusa

i unikać wszelkich czynów, któreby były kuszeniem Boga, opieraniem się jego woli, buntem przeciwko jego postanowieniom. Że tego rodzaju nauka wiodła w prostej drodze do uśpienia ducha narodowego, do zrezygnowania z całej przyszłości i zobojętnienia dla cierpień i krzywd narodowych, zbytecznem byłoby dowodzić.

Ten zgubny kierunek nauki Towiańskiego nie uszedł uwagi Mickiewicza. Spostrzegł on, że między nim, a jego przekonaniami zachodzą w wielu punktach rażące sprzeczności. Mickiewicz był przeciwny duchowi sekciarstwa, które wszechwładnie zapanowało wśród wyznawców mistrza Andrzeja, żądał on czynnego udziału w ruchach ludowych, które się objawiły we Włoszech i we Francji, mistrz Andrzej nie zgadzał się nań, utrzymując, że niema na to rozkazu od Boga. Zniechęcony i rozczarowany, zerwał Mickiewicz z Towiańskim, oskarżywszy go o wypaczenie nauki bożej, chociaż to wypaczenie polegało na tem, że Towiański, przyciśniony do muru, musiał w końcu zdradzić się z własnych swych dążności. Zresztą, nie potrzebował on dłużej kryć się z niemi. Miał on już dość zwolenników, którzy „ogłupiwszy się dla Chrystusa“, stanowili wierny zastęp uczniów, pozwalający mu odegrywać rolę apostoła. Mickiewicz był mu już niepotrzebny, a nawet szkodliwy, dawał bowiem przykład nieposłuszeństwa. Odtąd Towiański, mieszkając w Zurychu, swobodnie mógł nauczać swych sekciarzy, nieobawiając się żadnej kontroli ze strony narodu, od którego odgrodził się chińskim murem. Przypuszczał on do siebie tylko wybranych, takich, którzy, przygotowani przez innych, ślubowali ślepe posłuszeństwo wobec niego. W r. 1877 żył on jeszcze. Dzisiaj Towianizm należy do przeszłości. O jej założycielu można powiedzieć z dowodami w ręku, że jeżeli i był mistykiem, to w każdym razie mistykiem, dla którego ziemskie uciechy były tak samo pożądane, jak i niebieskie, i który w swej propagandzie mniej oglądał się na pomoc boską, a więcej na łatwowierność ludzką i dla zapewnienia jej sobie uciekał się do środków, nie zawsze zgodnych z „tonem Chrystusowym“.

Władysław Kozłowski.



WYZWANA.

Wrota od podwórka skrzypnęły i zawarły się z łoskotem za dwiema dziewuchami, rosłemi i giętkiemi, jak topole. Wybiegają raźnie pod górkę, na gościniec, powyżej chaty, poprawiają osuwające się im grabie z pleców, okrytych zgrzebnemi, ale wyszytemi wzorzyście koszulami. Ściągnięte mocno w pasie czerwoną krajką, z opartą na biodrze lewą ręką, zwracają się, jak na komendę, ku wschodowi, zorzą zarumienionemu i szybkim, miarowym krokiem spieszą sprószoną drogą.

Z okienka chaty wyjrzała za niemi matula, czy babka, o twarzy, porysowanej grubemi zmarszczkami, zczerniałej i wysuszonej w lecie skwarem na polu, a w zimie harowaniem przynajmie w karczmie, albo we dworze. Oj, bo też nie mało nabiedowała się już Iwanicha! Ile pogrzebów i narodzin już odbyła, to prawie nie pamięta, a po każdych prawie złogach trzeba zaraz trzeciego dnia albo i prędzej, chatę wymościć, ławy poszorować, izbę wybielić, bo moc kum i sąsiadów zejdzie się na chrzciny, trza ich jak należy ugościć utraktować gorzałką i pierogami. Mordko zawsze w potrzebie wygodzi, bo jest grunt i chałupa, ale za procent, gdzie jakie jajo, kurka czy lnu motek, wszystko idzie do niego. Ot, na chrzcinach ostatnich bliźnianek, co tam śpią jeszcze za piecem, poszła chata z dymem od ognia, co go pjani gospodarze zarzucili z fajek u stoga na podwórku. Dał pan drzewo z lasu na odbudówek, ale i Mordkowi trza się było pokłonić, ażeby mieć za co kupić na jarmarku krowinę, bo siwulę w ogniu upiekło. I znowu cięższa jeszcze bieda: każda krzynka mleka ze skopca przez Mordkową nadlana, każda kurka przez nią wymacana, a dzieciska wrzeszczą i kurczą się nieraz z głodu. Teraz lżej już trochę Iwanisze, odkąd starsze dońki chodzą na robotę i wyręczają maty w chacie, ona już często nie zduża, wygląda jakby kopę lat miała, a przecie na św. Jana minęło jej dopiero czterdzieści.

Iwana, choć setny chłop, opętało jakieś złe od pogorzeli. Robota mu nie idzie, wieczorami do karczmy zachodzi, stęka i narzeka, a Mordko, dobra dusza, wnet stawia gorzałkę przed nim na frasunek. Jak do domu po północku wraca, jakiś tuman nim kręci i po manowcach wodzi, że i kur zapieje, nim wpuści go za piec do izby. Tatulo dobrze chrapią, kiedy do dnia zrywają się dziewuchy, ogarną siebie i chałupę, nakarmią drób, zwarzą strawę, nadleją na połudenek do dwojaków i zabierają je w pole ze sobą.

Biegną dziewuchy gościńcem, zarumieniły się im policzki od wiatru, co dmie od wschodu i rozgania mgły przed słonkiem... Podgięte po bokach spodnice furkają na wietrze, ostry żwir wpija się w bose nogi, ale one biegną coraz szybciej, ażeby wcześnie stanąć na łące i bodaj półkopek więcej, jak inne, nagrabić. Pan płaci od kopy, a tatuś każą jak najwięcej postawić i wtedy z matulą już się nie swarzą. Dobiegają wielkiego drewnianego mostu nad Stryjem. Młodsza w bok skręca na sianożęć, nuci monotonną dumkę i wyciera zakurzone stopy o wysoką trawę. Starsza zwolniła kroku,

obejrzała się za Maryną i chyłkiem na skraj mostu skoczyła. Dziś, jak co dnia, chce ujrzeć modre wody Oporu, ginące w żółtawych falach szumnego Stryja. Nie wie dlaczego serce jej się ściska na widok przemocy, której ulega krasna wodeńka, płynąca tak bystro i wesoło popod ojców chatę. Hen, poniżej jasna jej wstęga wpływa łagodnym skrętem w burzliwe fale, co ją pochłonąć mają. Opiera im się zrazu, chroni jakiś czas od zbełtania swoje kryształy i przesuwa się cicho obok wartkich mętów, jakby się chciała przemknąć niepostrzeżenie. Ta wspaniała, dwubarwna za mostem rzeka, rwąca i gliniasta z lewej, a przeźroczysta i zielonkawa po prawej stronie, budzi zachwyt i ból w Parasce. Ściga ją oczyma aż do zielonego wzgórza, wrzynającego się klinem w łożysko rzeki. Tam, okalającą je modrą wstęgę zdrajca Stryj znienacka porywa i z wściekłością zalewa. Niema dla niej ratunku, słabsza, więc ginąć musi. Nad prawami natury ciemny umysł Parani nie zastanawia się: ona odczuwa tylko gwałt, dokonywający się przed jej ojczyma, cierpi i głuchy bunt roznieca się w jej duszy.

Ją też chcą oddać znienawidzonemu staremu Petrowi, a ona kocha Hrynia, młodego, rosłego, jak dąb, parobka. Dziś nie może czegoś oderwać się od tego rozpaczliwego dla niej widoku, zdaje się dziewczynie, że mknie na falach, ulegającej swemu przeznaczeniu rzeki i wpada z nią w otchłań — na zgubę.

— Paraska! woła na zapatrzoną Maryna, — znowu cię opętało? Ta sumujesz, wrosły ci nogi do mostu, czy co?

Porwała się z miejsca dziewucha, przygarnia zsunięte grabie do ramienia i dogania siostrę na łące.

— Będzie tucza, — odrzekła zadyszana, zrównawszy się z Maryną, — rosy ani krzty, a słonko już setnie pali. — Ledwie weszło z za wysokiej góry, a wypiło odrazu wilgotne opary, co chciały zasłaniać je przed światem. Gorące, potrzebowało ochłody na daleką wędrówkę, jaka je przez dzień cały czekała, zanim, zmęczone, wybladłe, spocznie za przeciwległymi szczytami.

Maryna zła, że siostra „tumanieje po upeczenem“*) każdego rana na „bisnowatym moście“, nie odzywa się do niej wcale, wyprzedza tylko Paraskę i schyla się co kilka kroków, a przesuwa ręką po trawie. Rusza ramionami i kręci głową, wreszcie spluwa za siebie i woła ze złością.

— I hi na tebe! — taż nam się spieszyć trza i choć półkopek zgrabić, nim tatunio nadjadą.

— Nie nadjadą zara — odpowiada chmurno Paraska — chrapali ta dopiero i na drugi bok obrócili się ze stękiem. Zrównały się znowu i podwoiły kroku. Szły trochę w milczeniu, wreszcie przystają i obcierają czoła fartuchem.

— Uf, jaki war, a słonko dopiero co wstało! — zagaduje znowu młodsza i rusza naprzód.

— Werch Paraski znaczy się mocno na niebie, źle, — będzie tucza, — powtarza z całem przekonaniem starsza i patrzy z bojaźliwem uczuciem na łańcuch gór, których szczyt najwyższy odrysował się ostro na horyzoncie.

Ogromne złociste słońce patrzy chciwie na łysy „werch“ góry, zwany Paraską, jakby wyszukać chciało jaką roślinkę na skalistym garbie i wypalić ją następnie do szczętu.

— Zapomniałam dwojaków, — zakrzyknie Parania naraz po chwili i ręce łamie, stanąwszy wśród kopic na sianożęci. Wetknęła grabie w najbliższą i patrzy żałośnie w stronę gościńca.

— Jak tu wytrzymać do wieczora — biada Maryna, poczem wyjmuje z za pazuchy kawał owsianego placka i rzuca nim o ziemię, jeszcze bardziej rozłoszczona.

— Matula ojcu podadzą, skoro najdą — uspakaja siostrę Parania. — Nie siedzieć nam tu do zachodu — dodaje i założywszy ręce, patrzy na okrągły, jak ludzka głowa, szczyt Paraski, oparty o dwa spadziste ramiona.

Maryna gniewnie trąca ją w bok łokciem, wyrywa grabie ze stoga i bierze się do roboboty z zacięciem

„Zaburzyła“ się na siebie i na tę „durną“ że zapomina zawsze o strawie, ona tylko musi zawsze o dwojakach pamiętać. Nie zważa już wcale na zadumaną, grabi siano pracowicie i nie boli ją o to głowa, że jutro pewnie będzie je musiała rozrzucać. Więcej dni na robocie — więcej szóstek tatuś zawiążą do węzełka i do Mordka za dług zaniosą. Oj, kiedy to się już skończy: bierze i bierze karczmarz gorzko zapracowane grosze, a kreski stoją u niego na załojonym papierze, jak stały.

— Paraniu, co ty leniuchujesz! — krzyknie naraz młodsza, oburzona. — Dur ci się chyta czy co?

— Oj, żebyż to naprawdę zwarjować! szepnęła, ocknąwszy się dziewczyna — Przedtem pohanem weselem, żadna robota mnie się nie ima.

— Et, dziwo — śmieje się Maryna, — ten chłop, czy drugi, jedno.

— Nie prawda! — wybuchnie Parania porywczo — Petro stary, brzydki, wdowiec.,.

— Ale ma tylko jedną „detynę“, a grunt, chudoba i chata, jak karczma, co? — przerywa jej żarliwie Maryna i spotniałe policzki zaczerwieniły się jej bardziej.

Starszą zakryła oczy fartuchem i zawodzić zaczyna: — Oj, żeby tatuś nie kazali, nie oddałabym się za samo złoto Petrowi.

— Toby nas Mordko wygnał z chałupy: tatulo winien mu moc grosza, a Petro obiecał

*) Umowa przedślubna.

założyć za niego, — przekonuje siostrę Maryna swarliwym krzykiem — Hrynio biedniejszy od nas, kto wie czy mu opiekunowie dobytek zapiszą a teraz co on, najmyta... kończy zadyszana i wydyma pogardliwie usta.

(C. d. n.)

Ezopina.



Słownik języka polskiego.

— PP. Jan Karłowicz, Adam Kryński i Władysław Niedźwiedzki, ogłosili „Zapowiedź“ wydawnictwa Słownika języka polskiego ułożonego pod ich redakcją. W zapowiedzi tej czytamy:

„Postanowiliśmy w Słowniku naszym zgromadzić ile można zupełną całość bogactwa mowy polskiej; więc nietylko staraliśmy się wyczerpać cały zasób języka żywego i literackiego, lecz też uwzględniliśmy wyrazy dawne i gwarowe. Znaczenie każdego wyrazu staraliśmy się podawać w jak najzwięźlejszem określeniu, usiłując nadto uwydatnić je wyrazami blizkoznacznemi i takiemi, które w potocznem użyciu najwięcej się z niemi łączą, oraz przytoczeniami z autorów i przysłowiami.

„Uznaliśmy też za rzecz właściwą wprowadzić do Słownika żywioł słoworodowy (etymologiczny); unikając wywodów naukowych, które w Słowniku naszym nie byłyby na miejscu, podajemy przy każdym wyrazie pień (pierwiastek), od którego pochodzi, jeżeli wyraz jest słowiański, a gdy jest zapożyczony, przytaczamy wyraz obcy, od którego się wywodzi. Nie przestając dla wyrazów rodzimych na wymienieniu pnia odpowiedniego, podajemy na końcu dzieła spis wszystkich pni polsko-słowiańskich, wraz z zestawieniem odpowiednich aryjskich.

„Słownik nasz powstał usiłowaniami i trudem licznego zastępu pracowników. Zapraszaliśmy do współudziału najlepszych znawców rozmaitych specjalności naukowych i technicznych; zapasy wyrazów i przykładów zgromadziliśmy z różnych książek i rękopisów. Wymieniamy poniżej osoby, które się najwięcej przyczyniły do ułożenia i opracowania słowozbioru:

„Do części głównej, do wyrazów rodzimych i ich objaśnienia: profesor Antoni Kalina, pp. Wacław Taczanowski, Ludwik Korotyński, a najwięcej i przeważnie Władysław Niedźwiedzki. Zasobów rękopiśmiennych i wyciągów z autorów dostarczyli pp. Józef Bojasiński, Florjan Czepieliński, Kazimierz Król i Wacław Taczanowski a najwięcej ś. p. Józef Bliziński, p. Józef Wojno i Władysław Niedźwiedzki.

„Część staropolską zgromadził i opracował Adam Antoni Kryński. Zbioru i objaśnienia wyrazów gwarowych dostarczył Jan Karłowicz. Słoworód wyrazów rodzimych i porównawczy spis pni, podany na końcu Słownika, obrobił profesor Jan Baudouin de Courtenay, słoworód wzrazów zapożyczonych podał Jan Karłowicz Wyrazy zoologiczne opracował ś. p. profesor August Wrześniowski; botaniczne p. Karol Drymmer; mineralogiczne profesor Jan Trejdosiewicz; chemiczne p. Bronisław Znatowicz; matematyczne profesor Samuel Dickstein; fizyczne i astronomiczne p. Stanisław Kramsztyk; do wyrazów filozoficznych dostarczył materjału p. Adam Mahrburg; lekarskie opracował dr. Józef Peszke; weterynaryjne p. Henryk Kotłubaj; aptekarskie p. Władysław Wiorogórski; wojskowe ś. p. pułkownik Konstanty Górski; prawnicze p. Leopold Méyet; muzyczne p. Jan Karłowicz; ekonomiczne pp. Władysław Wścieklica i profesor Stosław Łaguna; rybackie p. Zygmunt Fiszer; ogrodnicze p. Edmund Jankowski. Do słowozbioru z dziedziny technologji, handlu, rzemiosł i przemysłu przyczyniło się kilkadziesiąt osób, dobrze obeznanych z odpowiedniemi specjalnościami“.



Wiadomości bibljograficzne.

Dr. Bąkowski Klemens. Historja Krakowa w zarysie (Z rycinami).

W Krakowie, nakładem Tow. miłośników historji i zabytków Krakowa 1898. Str. 188. (Nr. 6. Biblioteki krakowskiej.) Cena 35 ct.

Dr. Papée Franciszek. Wiadomość o archiwach węgierskich i materjale ich do dziejów polskich w drugiej połowie XV. wieku. Podał... Kraków. Nakładem akademji umiejętności. 1898. (Osobna odbitka z Archiwum komisji historycznej T. VIII.) Str. 29.

Pini Tadeusz. Mickiewicz jako wydawca poezji Garczyńskiego. Lwów. Nakładem Tow. lit. im. A. Mickiewicza 1898. Str. 48.

Powszechna wystawa krajowa 1894 r. i siły produkcyjne kraju. T. II. Zesz. 6. Leśnictwo. Stosunki własności i posiadania przez prof. Dra T. Pilata. Gospodarstwo lasowe przez Kaźmierza Achta. Produkcja i handel drzewa przez Marjana Małaczyńskeego. (Z 7 rycinami i 3 mapami drzewostanów.) Cena zeszytu dla nieprenumerających całego dzieła złr. 2.50. Lwów. Nakładem Wydziału krajowego. 1898. Str. 130.



Drukiem K. Wiesnera we Lwowie.